NALEŻYTOŚĆ POCZTOWA
OPŁACONA RYCZAŁTEM.

Cena egzempl. 15 gr.

PRAWDA

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką pocztową 2 Zł.

tygodnik poświęcony sprawom politycznym, społecznym, ekonomicznym, literackim, naukowym i informacyjnym.

Wychodzi w każdy piątek o godzinie 10-tej rano. Adres Redakcji i Administracji: Tarnów, ul. Goldhammera 1.

Wszelkie listy i manuskrypta należy przesyłać tylko do Redakcji. Godziny przyjęć od 10 do 12 i od 3 do 5. Telefon Nr. 255.

Rok I. Tarnów, piątek 8 października 1926 r. Nr. 4.

Odwołanie.

Odnośnie do notatki zamieszczonej w numerze 3 tygodnika „Prawda" p. t. „Kostucha szaleje" — oświadczam, że notatka ta wkradła się na szpalty mojego czasopisma **bez mej wiedzy**, — że takową przyjął jeden ze współpracowników w ostatniej chwili w mej nieobecności i umieścił bez mego zezwolenia.

Nadto stwierdzam, że notatka ta była złośliwą napaścią na osobę dyrektora Sem. Czcigodnego Ks. Chrząszcza i Zakład naukowy, oraz zawierała fakta nieprawdziwe i zmyślone, — wobec czego poczuwam się do obowiązku złożenia tą drogą Ks. Chrząszczowi, dyrektorowi Sem. przeproszenia za wyrządzoną Mu osobiście i Zakładowi krzywdę.

Władysław Jaśkiewicz, odpow. redaktor.

Marszałku, stajemy na baczność.

W jakimś tam Rzędzinie, czy innej wsi żył głupi Jasiu, co psocił, kradł a lenił się strasznie. Gospodarz jak gospodarz zniecierpliwiony odpiął pasa i siedzenie Jasia dokumentnie wysmarował. A kiedy się rzetelnie zziajał, rzucił Jasia na ziemię.

Jaś się rozejrzał, potarł obite miejsca i zaśmiał się radośnie, jąkając:

— Uciekkasz... zwycię...ży...łem!

Jaś w swojej zatumanionej fantazji widział gospodarza przed nim uciekającego i zapomniał natych miast o opuchłym zadku.

Bardzo mi się on Jaś z Rzędzina, czy też innej wsi przypomniał, kiedy patrzę na odęte miny triumfujących naszych wybrańców z Wiejskiej.

Chmura zdyskwalifikowanych i zdyskredytowanych polityków trzymając jeszcze ręce na opuchłościach, dosiadają rumaków pychy i cieszą się, że przewrót majowy doznał fiaska, że Marszałek się uląkł.

Nierozumieją ubodzy duchem, lub siłą się swoim wyborcom wmówić, że ponieśli zwycięstwo i że Rząd skapitulował. Otumaniony czytelnik ósemkowych pism, któremu się dowodzi dziwnym sposobem algebraicznym, że $2 \times 2 = 5$, że okradanie zwie się patrjotyzmem, że szarganie godności Państwa aktem kultu, a pieniactwo i matactwo wielką polityką — czytelnik ósemki i w to zwycięstwo uwierzy.

Nie rozumieją warchoły, że Marszałek przenosząc ponad osobiste chęci i sympatje rację stanu, wołał pozostawić sejmikowców, a nie posłów, gdyż nie czas jeszcze na nowe wybory, — wybory, otwierające drogę na Wiejską komunistom i mniejszościom narodowym.

I w czem zwyciężyli parlamentarni konspiranci? **Marszałek Piłsudski** stanął na czele Rządu. Twórca wypadków majowych wziął rządy w swe silne ręce. A już ugrupowanie nowego gabinetu świadczy wymownie, że cały Naród idzie z radością i otuchą za swym ukochanym wodzem.

Boć jeśli mąż lewicy bez wahania wstępuje do gabinetu, gdzie kolegować będzie ze skrajnym reakcjonistą, monarchistą, — to świadczy, że mężowie tych skrajnych biegunów politycznych pracować będą zgodnie obok siebie w imię tej wielkiej wiary w twórcę niepodległości Polski i gromiciela nierządu politycznego i miernoty twórczej.

I cały Naród staje ramię koło ramienia w cichej przysiędze, że stać będzie przy Tobie Marszałku i plewić będzie każde w swym zakresie zło i prywatę na niwie społecznej.

Marszałku — stajemy na baczność. **J. K.**

Kosztowny komisarz, czyli inż. Rypuszyński urzęduje.

Każde przedsiębiorstwo, chociażby i największemi kapitałami rozporządzało, zbankrutuje, jeśli na jego czele stoji jednostka nieudolan, samolubna, a głupio trwoniąca. Nie pomogą dobre posunięcia handlowe podwładnych urzędników, — interes upada, skoro kieszeń szefa jest studnią, w której wszystkie skarby utopić się mogą.

Nie inaczej ma się rzecz z Państwem, nie inaczej z miastami.

I w tarnowskim grodzie, acz obywatel więcej niźli w innych miastach jest obarczony podatkami komunalnymi, acz miasto rozporządza i ciągnie (lub powinno ciągnąć zyski) z przedsiębiorstw wielkich i intratnych (gazownia, elektrownia, cegielnia i inne), stan kasowości naszego grodu jest groźny.

Czemu to przypisać? Jak się to dzieje, że krwawy grosz obywatela idzie na marne?

Dzieje się to gospodarką autokratycznego kom. Rypuszyńskiego, gospodarką, którą można jedynie scharakteryzować, jako idącą po linji jego osobistych interesów.

Mając oparcie silne u swego patrona, byłego wojewody **Kowalikowskiego**, z którym łączyły go stosunki serdecznej przyjaźni, wbrew istniejącym rozporządzeniom pobierał początkowo horendalne honorarjum za swój urząd, wynoszące przeszło 800 zł. Kiedy władze nadzorcze zwróciły uwagę na te anomalje i poleciły **p. Rypuszyńskiemu** zastosować się do obowiązującej ustawy, jeszcze i wówczas przy pomocy **Kowalikowskiego** potrafił wytargować dla siebie płacę komisarską znacznie wyższą, niż obowiązuje i jaką pobierają komisarze innych miast.

A kiedy pan **kom. Rypuszyński** podróżował, mogło się miastu zdawać, że na jego koszta podróżuje szach perski ze swoim haremem. Wystarczy wymienić, że podróż pana Rypuszyńskiego do **Gdańska**, w celu oglądnięcia maszyn popędowych, które — nawiasem mówiąc — nie zostały zakupione, kosztowała miasto przeszło 2 tysiące złotych. Tak samo drogo obliczał pan komisarz swoje bezcelowe podróże **do Wiednia i do Warszawy.**

Wszystkie roboty, wykonywane w mieście za niesłychanie wygórowane i krwawo wyciśnięte podatki, umiał p. Rypuszyński tak kierować, że przedewszystkiem było wykonywane to, co jemu samemu przynosiło korzyści osobiste, albo które podnosiły wartość i cenę jego realności. Natomiast okazywał się nieprzejednanym wrogiem i używał wszelkich komisarskich sztuczek, aby uniemożliwić te roboty, które pośrednio lub bezpośrednio nie przynosiły mu żadnych korzyści, jednak były dla dobra ogółu konieczne i naglące. W taki sposób udaremnił budowę dwóch domów lokatorskich na Kapłonówce, chociaż za czasów radzieckich wystawione już dwa domy, wymownie świadczyły o wielkim dobrodziejstwie i korzyści dla ludności tarnowskiej, jaka płynęła z powiększenia lokali mieszkalnych. Zaznaczyć należy, że budowa tych 2 nowych domów nie wymagała ze strony miasta żadnych ofiar, a tylko gwarancję dla pożyczki w Banku Gospodarstwa Krajowego.

Ileż to robót pilnych, przy tak olbrzymich wpływach podatkowych czekało na załatwienie i wykonanie bezskutecznie. Szkolnictwo, szpitale, łaźnia ludowa, baraki dla delożowanych i t. p. projekta leżały głęboko w szufladzie p. komisarza i ani jedna nie została wykonana, chociaż w budynkach szkolnych z powodu wilgoci i grzyba nasze dzieci narażone są na choroby i śmierć.

Jednem słowem, gdziekolwiek chodziło o jakieś cele kulturalne i humanitarne, **p. Rypuszyński** zamykał skrzętnie kasę miejską, natomiast był niebywale rozrzutny, gdy chodziło o bezmyślne rozrzucanie wcale dobrych jeszcze bruków i zastępowanie ich gorszymi i mniej trwałemi płytami betonowemi, o których publicznie wiadomo, że są wyrabiane w piwnicach hotelu Bristol, będącego własnością p. Rypuszyńskiego.

Ulice i place koło swoich realności wybrukował i wytaflował niczem bulwary paryskie, które to roboty byłyby do pomyślenia tylko w tym wypadku, gdyby nie było robót pilniejszych i gdyby w kasie był nadmiar gotówki. Zresztą w robotach tych brak całkowicie planu i celowości, nadto wykazują niesłychanie wygórowane koszta.

Drenowanie gruntów pod cmentarz na Chyszowie zakupionych przez pana Rypuszyńskiego wbrew uchwale byłej Rady, która orzekła, że grunta te na cmentarz się nie nadają i zapłacone wbrew treści kontraktu zawartego przez byłą Radę za cenę o wiele bardziej wygórowaną.

Cała ta afera wykazuje wielką dozę niefachowości i naiwności i niebywałej rozrzutności groszem publicznym. Zaś roboty około regulacji Wątoku taką nawet wprowadzają w zdumienie. (C. d. n.).

Skandal wekslowy w Banku Polskim.

Ch. R. Rubin chwalił Boga i robił niezłe interesy. Ale przyszedł „psi czas" — kupiec musiał się borykać ze złem ,walczyć podstępnie z panem radcą Myconiem, który bezlitośnie zwalił całą troskę utrzymania Skarbu na biednych kupców tarnowskich i wreszcie z odbiorcami, którzy — ani rusz — nie chcieli tak skakać, jak Rubin grał. No, ale „aby handel szedł", musiał się Ch. R. Rubin naginać do warunków miejscowych. Czasem gotówki nie było, trzeba podpisać weksel. Już jakoś będzie, Bóg nie opuści. I podpisywał Rubin weksle, których się złożyło w Banku Polskim aż dziesięć. Nadszedł termin zapłacenia weksli. Rubin chodził to tu, to tam, aż i takich znalazł, co pożyczyli na malutki procent: 8 od 100. Przecież Bóg nie opuszcza ludzi, ufających Mu.

Przy kasie w Banku ścisk. Czekał Rubin cierpliwie przeszło godzinę, ale mu Bóg wynagrodził to nudne czekanie, bo kasjer przez omyłkę miast jego dziesięciu, wydał jedenaście weksli. Przegląda Rubin weksle i widzi, że wśród wydanych mu weksli znajduje się także weksel Leiba Rusa, starego znajomka na dwieście złotych. Uradowało się serce Ch. R. Rubina, który nie myśląc zbyt długo, udał się do wspomnianego Rusa. Wchodząc pozdrowił zwyczajem pobożnych i wiernych Pana Boga i życzył Russowi dobrego tygodnia, sobie zaś w duchu dobrego roku.

— Panie Leib — rzecze grzecznie Rubin — ja przez pomyłkę wykupiłem pański weksel na dwieście złotych. Już chciałem go zwrócić, ale myślę sobie: po co mają temu Lejbowi weksel zaprotestować? Ja go wykupię i on mi z podziękowaniem te dwie setki zwróci. Czy źle zrobiłem, panie Leib?

— Czy pan źle zrobił? Dlaczego pan miał źle zrobić? Pan nawet całkiem dobrze zrobił, jak stary i dobry przyjaciel, a nie jakby to zrobił jakiś konkurent. Ja panu takoj zwrócę pieniądze i bardzo ładnie podziękuję.

Jak rzekł, tak zrobił. Dwieście złotych dał Rubinowi, chwaląc go i sławiąc w duchu. Z rzucił z serca tłoczący go kamień. Nie będzie miał przykrości ni nieprzyjemności. Dziwiło go to nawet, bo wciąż powtarzał:

— No... no... ktoby się był po takim Rubinie spodziewał. Bądź co bądź z tej samej branży, konkurent. Ale przyznać trzeba, że poczciwa z niego dusza.

Tymczasem kasjer zauważył brak jednego weksla na nazwisko Leib Russ. Posłał po Russa i powiada do niego:

— Słuchaj pan, weksel pański zginął...

— Jak to zginął? Wszak mój dobry znajomy Ch. R. Rubin wykupił go.

— Jaki? Rubin?

— Ależ proszę pana, ja jemu zwróciłem wszystkie pieniądze i bardzo pięknie podziękowałem...

Ch. R. Rubin za to nie podziękuje Leibowi Russowi, gdyż oddano tę sprawę do prokuratorji i biedny filantrop będzie odpowiadał przed sądem.

CIEMNICA.

Pan Kantor i jego kreatura gniewają się.

Jest jakoweś przysłowie: „Nie dotykaj się brudu, bo się zabrudzisz". I przeto nie powiniśmy na śmieszne napaści pana **Kantora** i jego „szmatki" odpowiadać.

Jednakowoż „redaktor ten naczelny", któremu żółć pęka, kiedy widzi, że nowo powstałe pismo **„Prawda"** odrazu wywalczyło sobie poczytność i powagę, puszcza się na tak kłamliwe i aroganckie napaści, że musimy nie jemu, ale jego nielicznym naiwnym czytelnikom wskazać, jakiemi dróżkami chadza kierownik ich „leiborganu"...

Pisze anonimowa kreatura pana Kantora (boć on sam 3 słów składnie skleić nie umie), pisze ona kreatura napaści, paszkwile i kalumnie po 5 zł. za sztukę. Plwa jadem swego niezdarnego pióra na osobistości, których etyka czystości jest dla niego terra ignota i współudziału w wygodnym ukryciu w matactwach swego „naczelnego".

I smutno panu Kantorowi patrzeć — i smutno jego adherentowi w ukryciu, że skoro się „Prawda" pojawi, setki rąk się wyciąga po kupno, bo wie, że nie spotka tam oszczerstw ,tylko zdrową strawę.

Sen zeszedł z oczu redaktora „Pracy", jadło mu nie smakuje i knuje, jakby tu „Prawdę" położyć.

Otóż ja dam ci radę cny „naczelny redaktorze Pracy": powiedz twemu matołkowi piszącemu, aby nie pisał oszczerstw i kalumnij, nie bierz od ludzi łapówek za milczenie. Postaraj się o poważne prace, licujące z godnością dziennikarską, a będziesz mógł z nami konkurować.

Ale rzucać się jak sztubak, gdy inny lepszą dostaje notę, wymiotować własną żółcią — fe!!!

Pismak pana Kantora w trzech aż notatkach chce nam śmierć zadać.

I w pierwszej dziwi się, że nie postępujemy wedle jego metody i pisząc o niemoralnym prowadzeniu się jakowejś niewiasty, nie wskazujemy na nią palcem, nie publikujemy nazwiska, aby módz wedle metody pana Kantora uboczne ciągnąć ze świństwa zyski. Nie panie „naczelny", my pracujemy inaczej.

Druga notatka jest muzykalna i w jazzbandowym tempie pędzi kłamstwa w naszą stronę.

Pyta się pan Kantor naiwnie, ile też młody muzyk, pan Lauterbach, nam zapłacił, że chwaliliśmy jego grę.

Otóż odpowiadamy:

Szczere i wdzięczne „Bóg zapłać", nagroda, na której „naczelny redaktor" „Pracy" by nie poprzestał, o czem mógłby coś powiedzieć pan Laszkowitz, który głęboko musiał sięgnąć do kabzy, aby grę pana Lauterbacha przytłumić.

Ale zgoła obojętne by to nam było, czy naszemu recenzentowi gra p. Lauterbacha się podoba, czy też p. Kantorowi grosze p. Laszkowitza.

Umieścił jednak p. Kantor, kłamliwie jak zwykle, nazwisko cenionego muzyka p. kapelmistrza Kuczery, który z całą stanowczością protestuje, aby go w kłamliwy i niezgodny z prawdą sposób przytaczać i tak opinję publiczną w błąd wprowadzać. Pan **Kuczera** oświadcza kategorycznie, że nigdy o grze pana Lauterbacha źle się nie wyraził.

Więc kłamstwo, jak wszystko, — panie „naczelny"!...

W trzeciej notatce cieszy się „redaktor jeszcze na wolności", że nasz współpracownik za przewinienie prasowe skazany został na areszt. (Sprawa jeszcze niewyjaśniona).

Och! gdyby redaktor „Pracy" miał za wszystkie oszczerstwa, kalumnje i szantaże siedzieć, „Praca" do końca jego życia byłaby wydawana za kratkami.

Więc siedź cicho, cichutko panie Kantorze, — bierz pieniądze na nakład od tak gorliwie bronionego przez ciebie p. komisarza **Rypuszyńskiego** — i jeszcze raz zjadaj twój chlebuś w zaciszu i milcz, abyśmy nie stracili cierpliwości i nie zajeli się twoją działalnością podczas wojny i twojem świadectwem przynależności, które ci Rada miejska i policja odmówiła, jako obcemu przybłędzie, a p. komisarz **Rypuszyński** prawem kaduka w trzech dniach ci go udzielił.

19.

Do kancelarji ogólnie szanowanego i znanego z taktu mecenasa X wpada Dr G.

— Ależ panie kolego! ja muszę sprostować notatkę, umieszczoną w „Prawdzie" p. t.: **„Panie mecenasie G. naucz się pan ustawy"**.

W tym celu zwracam się do pana, ażebyś zechciał posłużyć mi mądrą radą. Ot przygotowałem sprostowanie następującej treści:

1) Nieprawdą jest, jakobym nie umiał ustawy — natomiast prawdą jest, że wszystką ustawę potrzebuję umieć najlepiej od wszystkich adwokatów.

2) Nieprawdą jest, jakobym wniósł skargę do Sądu powiatowego w Tarnowie do L. cz. U. IX. 1316/26, natomiast prawdą jest, że skargę tą imieniem mojem potrzebował wnosić mój kolega adw. Dr E. K., chociaż on sam nie wie, jak się to stało, że na skardze tej potrzebuje znajdywać się jego pieczątka.

3) Nieprawdą jest, jakobym niełatwo znajdywał odnośne przepisy ustawy w kodeksach, — natomiast prawdą jest, że wszystkie przepisy potrzebuję mieć w głowie.

4) Nieprawdą jest, jakobym nie mógł nic nikomu pomagać, — natomiast prawdą jest, że potrzebuję czasem niektóre procesy wygrywać (jak Smosnych w tutejszym Sądzie, Górskiego w Trybunale administracyjnym i inne, — no i potrzebowałem uzyskać „kontrumację" w sprawie U. IX. 1316/26, chociaż wezwania do rozprawy oskarżonemu wcale nie doręczono, a to przecież jest sztuką).

5) Nieprawdą jest, jakoby wszystkich adwokatów się rumienili, że mają pośród siebie kolegę, obdarzonego wielką wiedzą prawniczą, — natomiast prawdą jest, że wszystkich moich kolegów potrzebują się z tego cieszyć".

— No widzi pan, panie kolego G., sprostowanie w treści i formie znakomite, tak jak znakomitą była pańska notatka w „Pracy", ale... ale... jeżeli mam panu koledze służyć dobrą i mądrą radą, to radzę panu koledze, zostaw pan sprostowanie i zostaw pan całą aferę z autorem notatki, skierowanej przeciwko panu, bo... widzi pan, to najgorsze, jak człowiek się sam ośmiesza.

— Zatem słucham pańskiej rady, puszczam w niepamięć co dotąd zaistniało, a może będzie lepiej.

Izasław Neuberg.

Skazany na życie.

To be or not to be, that
is the question.
(Wiliam Shakespeare).

I.

Stefan siedział pochylony nad małym stolikiem, zastępującym mu biurko i pisał szybko, gorączkowo. Biały papier zapełniał się drobnemi literami: świetlany bohater powieści już się formował. Każda litera, to nowa komórka, każda kropla atramentu, to kropla krwi. Stefan pragnął, ażeby jego bohater posiadał to wszystko, czego brakowało jemu. A więc uroda i zdrowie. Pieczołowicie stawiał literki, nie zapominając o najdrobniejszych szczególikach, któreby upiększyły jego mściciela.

— Mściciela?

— Tak!

Mścicielem miał być. On, jego bohater miał z gestem człowieka pewnego siebie unieszczęśliwić te, którym ani na myśl nie przyszło spojrzeć kiedykolwiek w rozkochane oczy, oczy odrażające ułomnego literata. Dusza Stefana radowała się na myśl o czołgających się u stóp bohatera kobietach. Uśmiechał się bestjalsko, krzywiąc pomarszczoną twarz, przez co stała się jeszcze wstrętniejszą, niż zwykle.

— Jak cię nazwać mój ty tworze kochany?

— Kazik nazwę cię. Z zachwytem i z pietyzmem wymawiać będą kobiety twe imię. Jak to brzmieć będzie pieściwie, aksamitnie w koralowych usteczkach Stachy. A ty... ty... z niedbałością światowca odsuniesz tulącą się do ciebie dziewuszkę i zapytasz się jej zimno, niechętnie:

— Cóż więcej chcesz? Wszak chodziło ci tylko o to, żebym cię posiadł. Mówiłaś, że za noc spędzoną ze mną gotowaś życie poświęcić. Otóż uczyniłem zadość twemu żądaniu: pieściłem cię, całowałem cię, jak nikt inny. Więc pocóż mię nudzisz i męczysz?

— Hi, hi, hi... wspaniale mój Kaziku... cudownie...

A ona sądzić będzie, że żartujesz, przemawiać będziesz bowiem słowami niezwykłemi, do których ucho kobiety nie jest przyzwyczajone i rzuci się ku tobie, pieścić i całować pocznie...

— Pani — odrzekniesz na jej pieszczoty — wzbudzasz we mnie wstręt. Brzydzę się tobą, jak gadem śliskim. Odstąp ode mnie! Precz!

— Kaziku, jesteś krwią mej krwi, duchem mego ducha. Takim cię widzieć pragnę.

I głowa Stefana pochyliła się znowu nad papierem. Skrzypowi pióra towarzyszyły cichutkie i delikatne słowa. Szeptał czule słowa miłości swemu tworowi, jak matka pierwszemu dziecku.

II.

Stała się rzecz z utęsknieniem przez Stefana oczekiwana. Atrament zamienił się w krew. W ciało, myślą Stefana zrodzone, tchnął ducha.

— Kazik ożył!

Stefan oczom swoim nie wierzył. Bohater przeszedł najśmielsze jego oczekiwania: był rosły, śniady, o aksamitnych włosach i o dużych czarnych oczach. Z radością spoglądał na swoje dzieło. Pociągnął go za rękę i usadowił naprzeciw siebie. Stefan, patrząc w oczy Kazika, począł gorączkowo szeptać:

— Słuchaj, mój ty kochany Kaziku: będziesz moim mścicielem... tak... będziesz unieszczęśliwiał kobiety, bez względu na ich wiek... za to, że mną kaleką pogardzają... jeśli szczęście zaświeci komuś, ty się zjawisz i zgasisz lampę Fortuny... nie ulegniesz żadnej... słyszysz: żadnej! — powiadam. Jak psy skomleć będą u twych stóp...

— Hi! hi! hi!...

Od trzech lat pracuję nad stworzeniem i ożywieniem ciebie. Niewolnikiem moim będziesz... wszystko spełnisz, co ja ci rozkażę. Nie miałem chwilki radosnej w życiu mojem... nikt nie przytulił wstrętnego kalekę... w zemście chciałem znaleść ukojenie... studjowałem chemję... wynalazłem stefanit, straszliwy w skutkach, rozkładający wszystko na atomy... hi, hi, hi... zemsta byłaby straszna, ale ucierpiałby niewinny... teraz ty, Kaziku, będziesz narzędziem zemsty mojej. Musisz być wszystkowiedzącym, musisz odgadywać myśli ludzkie, wówczas broń twoja — uroda, będzie straszną...

— Powstań!

Stefan stanął na palcach, ażeby rękami dostać do głowy Kazika. Objął jego głowę i patrząc mu bystro w oczy, wyrzekł powoli, a dobitnie:

— Ja Stefan, twój Mistrz, rozkazuję ci być wszystkowiedzącym. Będziesz odgadywał myśli ludzkie, jeśli tylko tego zapragniesz. Od tej chwili stajesz się jasnowidzącym. Tak chcę ja, twórca twój i pan.

A teraz siądź ot tu, obok mnie i pilnie uważaj.

— Kaziku, będziesz mi donosił co czynisz i jak się czujesz pośród ludzi. Ja będę cię śledził i pilne na ciebie dawał baczenie. W tobie pokładam nadzieję życia mojego. Obyś mię nie zawiódł. Pamiętaj, że ja cię ożywiłem, że tylko ja jeden mam władzę nad tobą i w każdej chwili mogę cię z powrotem zakląć w zwykły papier biały, pokryty całym szeregiem słów, będących niczem innem ,jeno moim tchnieniem, tchnieniem pisarza...

A teraz rozkazuję ci wrócić do twojej siedziby, wcielić się w papier. Niechaj krew twoja w atrament się zamieni, komórki w litery, żyły w zdania, kości w stronice, a imię w tytuł. Stań się tem, czem jesteś: marnym, choć świetlanym tworem literackiego pomysłu. Niechaj śladu nie będzie po ludzkiej twojej postaci! A kiedy zawołam na ciebie:

— Tworze mój, Kaziku, powstań!

— powstaniesz.

Tak postanawiam ja Stefan, twój Mistrz.

III.

Kazik znalazł się na półkach księgarskich. Stefan, jak dzień długi, wystawał przed księgarnią i obserwował kupujących. Jego niepozorna i ułomna postać, otulona w wyszarzałe futro, trzęsła się w radosnym chichocie na widok kupujących pań. Co chwila wychodził Kazik w towarzystwie jakiejś miłej osoby, która tuląc go do piersi, spieszyła do domu, by tu na otomanie oddawać się rozkosznemu zajęciu...

...Ach! jak ty słodko szepcesz miłości słowa... chcę, byś mię kochał... kochał... kochał...

...Kochać? Nie masz takiego terminu w słowniku moim. Ja zadawalniam cię. Nic ponadto...

Upłynął tydzień. Wezwany rozkazem Stefana zjawił się Kazik, by zdać wyczerpujące sprawozdanie ze swoich czynności.

— Mów! — wyrzekł krótko Stefan.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kuku-ryku małego miasta.

W każdem innem mieście na świecie, jeśli jest jakiś placyk, a tembardziej na głównej ulicy, jest bardzo pielęgnowany, starannie oczyszczany, między kamieniami trawa plewiona, aby to jakoś wyglądało. U nas na samem oku Starostwa, w miejscu, gdzie się znajduje kawiarnia i cukiernia, gdzie się schadza cała inteligencja miasta, rozciąga się trójkąt, nazwany placem Sobieskiego. Placyk ten ma stale wygląd brudny, smutny, zatrawiony, tak że niedługo zobaczymy kozy pana Rypuszyńskiego i pastuszka z fujarką, paszące się (nie pastuszek) na głównym placyku miasta.

Na placu Kazimierza smutnie spogląda wieszcz Adam na mrowie przekupek z nabiałem, które rozkładają swój towar u stóp twórcy p. Tadeusza, zanieczyszczając plac ten odpadkami, skrawkami papieru i t. p. niechlujstwem. A przecież każdy obcy kieruje swe kroki na ten placyk, aby złożyć genjuszowi należną cześć, a tu brudy, — czyż to nie wstyd?... Możeby owe babuleńki na innym jakim placu masełkiem handlowały?

Kiedy już mowa o wyglądzie miasta, to dwadzieścia groszy dałbym temu, któryby mi wytłumaczył, dlaczego p. Gutowski tak zapalczywie wycina stare drzewa na cmentarzu i czyni z tego zacisznego sadu śmierci, gdzie drzewa jesiennym liściem płaczą nad grobami nam drogich, — jakąś geometryczną płaszczyznę pokrajaną grobowcami. Smutny to będzie wygląd.

Jest w Tarnowie dużo pięknych domowli, — stary ratusz należy do nich bezsprzecznie, — które ząb czasu szczerbi i szczerbi i niema ręki, któraby się skarbami naszej starej świetności zajęła. Czy nie ma w Tarnowie komisji konesrwacji starych stylowych budowli?

A propos starych budowli stwierdzam, że fortepianowe nogi nie uważam za nic obraźliwego, bo jeden lubi takie, a inny wręcz przeciwne. Ktoś mi mówił, że lubi nogi jak flaszki z szampańskiego wina, inny znowu lubi zerkać na tyczki, — tylko takie, które cierpią na elefantiasis nie są lubiane.

Według recepty łączmy się, zabawia się ochoczo młódź z Krakowskiej razem z Grabówką w sobotę w Secesji. Rzuć szpilkę między tańczących, a będzie z nimi tańczyła, nie upadając na ziemię, — taki ścisk.

— Panie Moryc, to nie ładnie tak przyciskać, wszystko się patrzy.

— Panno Salciu, ja tańczę po parysku... W wielki mmieście to tylko tak....

— Tyle razy mówiłam panu, że nie nazywam się Salcia, tylko Lusia!

Muzyka rżnie...

— Malo! Mało! — słychać ze wszystkich stron.

Więc na nowo tany.

— Panie mecenasie, pański brzuch wszędzie zawadza — krzyczy ktoś w tłoku. — Schowaj go do kieszeni.

— Pański rozum mógłbym do kieszonki w kamizelce schować, taki jest maleńki — odpowiada z flegmą mecenas.

Drugi mecenas kręci się po sali, podryguje swemi długiemi nogami, uśmiecha się słodko do dziewic i rozpytuje się skwapliwie, ile która z nich ma posagu. Mówią, że ma w kieszeniach cały skład listów od takich, co to chciałyby na marjażu zarobić.

Tańczę z jakąś nadobną z samego stolecznego miasta Krakowa. Wie, że musi tym obskurnym prowincjałom swoją stołeczną wyższość pokazać. Więc wtula się w tańcu.

— Panie redaktorze, czy to pan wie, że jestem z Krakowa?

— Co? z Krakowa? Ja panią dobrodzijkę miałem za Warszawiankę.

Cudny uśmiech.
A muzyka rżnie...
Gwarno... lecz... ciasno...
Pot się leje, — gorąco.
— Panno Józiu, wyjdziemy na korytarz?
— Co znaczy korytarz! Za kogo mnie pan ma?

W sprawie sprowadzenia zwłok jen. Bema.

Komitet ścisły sprowadzenia zwłok gen. Bema do kraju odbył dnia 5 b. m. posiedzenie w sali Kasyna miejskiego. Sprawa prowadzona przez ścisły Komitet rychło postępuje naprzód. Uproszony rektor Akademji krakowskiej prof. Szyszko-Bochun zawiadomił Komitet, że z całą gotowością przystąpi do zaprojektowania i wykonania mauzoleum dla Bohatera. Na skutek tej wiadomości wystosował Komitet zaproszenie do rektora Szyszko-Bochuna na dzień 12 b. m. do Taronwa, by wspólnie z nim i p. kom. Rypuszyńskim, jako del. miasta, wybrać stosowne miejsce pod mauzoleum. Poczem będzie mógł prof. Szyszko-Bochun już w niedługim czasie przedstawić projekt i kosztorys. A więc sprawa dojrzewa.

Poczem przyjął Komitet sprawozdanie del. artyl. konnej maj. Stachowicza z V. DOK. o akcji, jaką prowadzi artylerja konna, zapoczątkowanej przez pana płk. Dunin-Wolskiego. Wszystkie dyw. art. konnej opodatkowały się na ten cel pewną kwotą, składaną miesięcznie. Następnie zawiadomił pan major Stachowicz, że w dniu 10 grudnia b. r., jako w 75-letnią rocznicę śmierci bohaterskiego Generała, urządzą wszystkie formacje artylerji z poszczególnych garnizonów uroczystą Akademję, oraz zbiórkę pieniężną na akcję sprowadzenia zwłok generała Bema do kraju. Komitet w Tarnowie postanowił rocznicę tę obchodzić uroczyście, urządzając Akademję w dniu 12 grudnia b. r., na której wygłosi odczyt prof. Uniw. warszawskiego, wybitny Węgier prof. **Divéhy**.

Godną naśladowania jest akcja Związku Ziemian Małopolskich, którzy postanowili pracę Komitetu ścisłego poprzeć finansowo.

W najbliższym czasie udaje się do Warszawy del. Komitetu w składzie Radcy Żułkiewicza, Ks. Prał. Dra Mysora i rotm. 5 p. strz. k. Naimskiego, celem zaproszenia do prezydjum honorowego pana Prezydenta Rzeczypospolitej, p. Marszałka Piłsudskiego i marszałka Sejmu i Senatu.

Akcja dojrzewa. Z kraju poczynają się sypać składki dla sprowadzenia zwłok wielkiego Bohatera.

Mamy nadzieję, że i obywatele Tarnowa nie poskąpią grosza, aby uczcić swego największego bohatera.

Nierząd szerzy się straszliwie.

W Krakowie baczną zwracają odpowiednie władze uwagę, aby sankcjonowane przez administrację boginie Afrodyty nie kręciły się po głównych ulicach, gdzie mieszając się z młodzieżą szkolną, duże mogą czynić spustoszenie moralne.

W Tarnowie dzieje się inaczej. Bachantki kupnej miłości kręcą się szpalerem po Krakowskie i Wałowej, żartują i kłócą się ze swymi alfonsami, zaczepiają chociażby najmłodszych i nierzadko obelżywe kierują słowa w stronę pań i dziewcząt szkolnych, do których dziwnym jakimś prawem życia czuje kobieta lekkich obyczajów żal i zawiść.

Stacje przetargów.

Na Wałowej koło Kasy Oszczędności, w ciemnej uliczce w dół idącej, — tam gdzie poważnie szkoła przy szkole się wznosi, odbywa się przetarg rozkoszy cielesnych.

W kapeluszach i chustkach, młode i stare, świeże i krostowate, aż do ohydy, stoją w kątach i przynęconą ofiarę zmuszają czasem całkiem jawnie na ulicy swemi wypłowiałemi wdziękami do hojności.

To jest stacja tych najniżej upadłych, już kompletnie zniszczonych i tak młodych jeszcze, że człowiek się dziwi zwyrodnieniu amatorów.

Plac Sobieskiego — wyższa skala.

Na placu **Sobieskiego** koło apteki i w bramie domu znika co chwila jakaś dziewoja, a za nią amant.

Tam grasuje sławna **gimnazjalistka**, co „inteligentnie mówi" i ma wielkie powodzenie dla swoich jasnych włosów. Tam jest w domu Marta konfidentka, co to wie zawsze, gdzie jaki zbrodniarz się ukrywa.

Tam kupczy Ewa-Zyza, mająca zżarte już nogi, ale jeszcze dla swej urody poszukiwana.

Ogród Afrodyty.

Za kawiarnią **Kirsza** znajduje się ogród chwastami wysoko obrośnięty i jedna jabłoń w pośrodku zmuszona jest co wieczór spoglądać na orgje, odbywające się pod jej gałęziami. Dziwić się należy, ilu to amatorów pisze się na taką miłość w plenerze.

Na Nowym Świecie.

Na Nowym Świecie, naprzeciw fotografa „Marja" jest plac nieogrodzony, gdzie już po dziewiątej można się potknąć co krok o kolujące pary, głuche i nieczułe na wszystko, co się wokół dzieje. A dużo, bardzo dużo dziatwy szkolnej przechodzi tą ulicą.

Cichy domek modrzewiowy.

Również na Nowym Świecie znajduje się domek, w którym starsze doświadczone hetery i młode adeptki tajnej, nie sankcjonowanej miłości swoje gniazdo zbudowały.

Marlot z Ogrodowej.

Z węgierskim temperamentem spaceruje po Krakowskiej, chętnie zawiera znajomości z uczenicami (wiadomo co je czeka) i poluje jedynie na elegancko ubranych.

Małe w czapeczkach szkolnych.

Suną przez ulice małe, w czapeczkach szkolnych, udające uczenice, a rzucające zalotnie oczyma i wabiące w boczną Chyszowską ulicę. Te krzywdzą straszliwie naszą młódź, gdyż niedoświadczeni później winią i czynią zarzuty uczącej się młodzieży, która jest tylko ofiarą mistyfikacji dziewek bez sumienia.

W dzień służące, w nocy kochanice.

W dzień chadzają z małemi dziećmi, są w służbie u bardzo lekkomyślnych matek, nie wglądających w czynności swych panien służących, wieczór zaś chadzają na lekki zarobek i przynoszą do domu zarazę i brud.

Ratunku.

Cały mnogi kalejdoskop adeptek Wenery sunie i rozsiewa straszliwą chorobę wśród społeczeństwa.

Echa spwawy Sikorski—Naleziński.

Sąd okręgowy w Tarnowie, jako rekursowy **unieważnił** na skutek rekursu wniesionego przez tutejszego mecenasa p. Dra Emila Merza, — uchwałą z dnia 7 września 1926 l. cz. R. III. 331/26 i R. III. 332/26, przeprowadzoną przez tutejszy Sąd powiatowy **licytację** realności Nalezińskich, przy której realność Nalezińskich położoną w Błoniu nabył Stanisław Langer, żarządca folwarku w Chyszowie, zaś grunt położony w Rzuchowej, Walerja Wachowa, żona kolejarza i handlarza gruntów z Rzuchowej

Pan Auguts Sikorski ma więc obecnie sposobność do końcowego uregulowania swej sprawy z Nalezińskimi w sposób iście **obywatelski**, nie wydzierając dzieciom Nalezińskich ich ojcowizny, — na co czekamy i pilnie śledzić będziemy dalszy tok tej sprawy.

Kronika.

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że ustanowiliśmy kilka cennych premij dla rocznych, półrocznych i kwartalnych abonentów, które będą rozlosowane między pierwszymi stu abonentami. — Szczęśliwy wybraniec losu otrzyma bardzo piękny obraz, który będzie wylosowany między rocznymi abonentami, — 2 świetne akwaforty będą rozlosowane między półrocznymi abonentami, — zaś jedna akwaforta dostanie się jednemu z kwartalnych abonentów. Zapraszamy więc do szybkiego zaprenumerowania „Prawdy".

W sobotę 2 b. m. żegnało Grono nauczycielskie III. gimnazjum w Tarnowie ustępujących ze szkoły na emeryturę prof. Ciołkosza i Arendta w lokalu Palucha. Z tej okazji przemawiali p. **dyr. Szuba**, który w gorących słowach żegnał i podnosił zasługi żegnanych profesorów, którzy tak w zakresie szkolnictwa, jak i na niwie społecznej wielkie pozostawiają zasługi. Następnie przemawiał **ks. katecheta Chrobak**, oraz kilku kolegów. W dłuższej przemowie dziękował **prof. Ciołkosz** zebranym za tak serdeczne i zaszczytne słowa, świadczące, że podczas tyloletniej żmudnej pracy zdołał pozyskać sobie wielu przyjaciół. Zebranie cechował nastrój miły i podniosły.

Onegdaj dokonano śmiałego napadu na OO. Misjonarzy w Tarnowie. Czuwający jeszcze Braciszkowie spłoszyli złoczyńców i śmiało zabrali się do przytrzymania zbrodniarzy. Niestety jednak, zdołali uciec, zadając kilka ciosów nożem jednemu z Braciszków. Na szczęście rany nie są niebezpieczne.

Pojedynek na laski. W niedzielę w godzinach popołudniowych odbył się obok cukierni Skolimowskiego pojedynek na laski pomiędzy tutejszym adwokatem p. Drem Emilem Widerem a redaktorem naszego pisma p. Z. Rapaczem.

Zajście sprowokował p. Dr Wider, uderzając pierwszy p. Rapacza laską.

Sprowokowany zareagował natychmiast, zadając bezlitośnie swoją „wiśniówką" kilka ciegów p. Dr. Widerowi. Pojedynkujących się rozbroili dwaj posterunkowi.

Dział ekonomiczny.

„Optima" zdobywa rynki zagraniczne.

W czasach najcięższego kryzysu w naszym przemyśle, powstała w Krakowie fabryka czekolady „Optima", kierowana sprawną ręką dyr. Ehrlicha, który wychowawszy się w Anglji, przesiąkł całkiem etyką wielkiego i rzetelnego przemysłowca Wielkiej Brytanji, nieugiętego w swoich dążeniach. Nic więc dziwnego, że kiedy rytm maszyn fabrycznych coraz bardziej zamierał w Polsce, fabryka „Optima" coraz większego nabierała rozmachu, angielskim pędem się rozbudowywała, zatrudniając coraz większe rzesze robotników. — I dziś stanowi ta fabryka nie tylko w swoim zakresie, ale w całym przemyśle polskim ważny a olbrzymi czynnik ekonomiczny. Dyrekcja, mająca na oku rozwój tej wielkiej placówki przemysłowej ulepsza coraz bardziej swe produkta, tak że dziś nie tylko w kraju, ale i zagranicą znalazła jak największe uznanie, wyrażające się w zakupach, poczynionych przez hurtowników angielskich i holenderskich. I zaiste, „Optima" może się poszczycić, że jest pierwszą fabryką w Polsce, wyrabiającą swe fabrykaty na eksport do Anglji, przezwyciężając przysłowiową nieufność rynku angielskiego do polskiego towaru.

Jak słychać ma się fabryka „Optima" olbrzymio rozbudować i znacznie powiększyć ilość swoich robotników.

Landru Tarnowa.

Z zawodu skromny piekarz. Akcja dzieje się na deskach, na których wypieka się chleb. Ofiary to młode dziewczątka po chleb posyłane — służące.

Landru tarnowski wysoki, barczysty mężczyzna, typ Talrona rodzimego, lub Sanina.

Człowiek, co tylko chleb wypieka, dużo posiada inteligencji, którą wytęża jedynie w tym kierunku, aby uwieść jak największą liczbę dziewoji.

Lista unieszczęśliwionych jest długa. Pan Landru pracuje pilnie.

Nowa ulica, na której zdobywca serc H. M. ma swoją piekarnię, jest często terenem srogich narzekań i wykrzyków na sinobrodego.

I tak chadza sobie młoda panienka po Krakowskiej tam i z powrotem, uśmiechając się do przechodzącej młodzi, — a jeszcze niedawno cnotliwie z mamą chadzała. To ofiara rozkochanego piekarza.

Temu małżonka płacze rzewnemi łzami, że spotkała na swej drodze amanta piekarza, za co ją małżonek z dziećmi wygnał od siebie i teraz w nędzy i rozpaczy rozważa, jak krótkie były dnie amorów, a jak długa pokuta.

A możeby się tak nasz rodzimy Landru uspokoił. Recepta: Bromu — dużo bromu — i praca!

Dodatek sportowy „Prawdy".

Radykalne pranie brudów.

Ostatnie oficjalne wiadomości z Krakowa zajmują się drobnostkowo stosunkami tarnowskiemi, przyczem najgorzej wychodzi Ż. T. G. S. Samson, który nie tyle za grzechy własne, ile za bezmyślne postępowanie po linji wytycznej swego byłego kierownika Alfusa musi obecnie konsekwencje ponosić.

Stosunkowo najlepiej wyszedł sam Alfus, czemu się nie należy dziwić, znając klikę jego protektorów w rozmaitych instancjach sportowych w Krakowie. Dzięki ich poparciu ukarano go tylko sześciomiesięczną dyskwalifikacją za a) ustawiczne wywoływanie tarć i walk między klubami przez intrygi i niesportowe i szkodliwe działanie, uniemożliwiające normalny rozwój i działalność poszczególnych klubów, b) za ujemną krytykę działalności niektórych członków Wydziału Gier i Dyscyplin, c) za czynne zniewaźenie świadka w lokalu urzędowania komisji W. G. i D. podczas jej bytności w Tarnowie i d) za grę w czasie suspenzji. Uzasadnienie to, podane przez oficjalny komunikat związkowy, wylicza tylko drobną cząstkę faktycznych jego przekroczeń, a milczy zupełnie o jego kwalifikacjach amatorskich. Na razie więc Alfus jest do 30 czerwca 1927 załatwiony, a przez ten czas może się weźmie do jakiegoś uczciwego rzemiosła, talent bowiem bezsprzecznie posiada.

Na niesprawiedliwość będzie zapewne narzekał p. Maurycy Mannheimer, były prowodyr podokręgu tarnowskiego, do niedawna jeszcze pryncypał spółki Alfus & Ubij et Co. Przeznaczono mu bowiem ze Związku rok przymusowego urlopu za przewinienie, idetnyczne z temże Alfusa ad a). Nie jedną bowiem miarą W. G. i D. mierzy, a Lwów zbyt daleko od Krakowa oddalony, by móc tam skutecznie interwenjować.

Sam „Samson" został via Kraków wzbogacony o trzy walk-overy, tak że jego obecny bilans w mistrzostwie przedstawia się następująco: 8 gier, 8 klęsk, stosunek bramek 4 : 41. Rekord ten w negatywnem znaczeniu dałby się łatwo uniknąć, gdyby podobno jak w 1925 r. uczciwemi środkami dążono do celu, a nie za pomocą kaptowania graczy terrorem i t. p., czego smutny dowód złożyło w bieżącym roku towarzystwo, którego powinnością byłoby świecić innym drużynom przykładem.

Z koncertu.

W sobotę dnia 2 b. m. odbył się staraniem biura koncertowego A. Seidena koncert **Tadeusza Goneta**, artysty skrzypka.

Że w koncercie **Griega** „Allegretto quasi andantino" przeszło dla mnie bez większego wrażenia, że **Wieniawski** nie oczarował mię jak zwykle swoją cudną słowiańską modulacją tonów, przypisać trzeba tremie, która widocznie ogarnęła młodego skrzypka, a która nie pozwoliła rozwinąć się odrazu całej skali jego uczuciowości i technicznej możliwości. Bo że technikę posiadł młody Tadeusz Gonet par excelance, było pierwszym, co odrazu uderzyło.

Dopiero **Dittersdorfa** „Scherzo" otrząsnęło artystę i pozwoliło poznać całą skalę jego płomiennej duszy. **Kreislera**: „Liebesfreud" i Sarasate „III. taniec hiszpański" były ucztą dla znawców nielada.

Tempo, czystość tonów ,rozmach i taki jakiś dziwny ton sercowy pozwalają na horoskopy jak najlepsze dla młodego artysty.

Akompanjowała bez zarzutu pani Helena Silbigerowa.

Co grają w kinach i teatrach.

Apollo:

„O czem się nie myśli"... Współczesny dramat obyczajowy w 10 aktach z prologiem.

Marzenie:

„Zazdrość na scenie i w życiu". Werner Krauss i Lya de Putti w głównych rolach.

Popierajcie i czytajcie tyg. „Prawdę".

Wydaje: Spółka Wydawnicza. Drukarnia J. Pisza pod zarządem St. Starostki w Tarnowie. Redaktor odpowiedzialny Władysław Jaśkiewicz.